

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M.a.

(Dalszy ciąg).

Justus stał przez chwilę niemy, jakby zdziwiony; może nie spodziewał się od dziecka tak poważnego pytania, gdyż nie znał Marka, nad którego wczesnym rozumem zdumiewali się wszyscy zblizka nań patrzący. Wreszcie rzekł, jękając się.

— Ja, ja bo tam nie wiem znów tego; ja tyle wiem tylko, ile z gwiazd wyczytam; a w gwiazdach napisano jest, co ma być, lecz niema dlaczego? Nazwałem cię dzieckiem nieszczęścia, bo widzę je zawieszone nad tobą, jak nad przodkami twymi, panie. Ale więcj ja nie wiem. Bo i niema w tém nic więcj pewno.

— Pokaż mi na całym obszarze polskiej ziemi drugie trzy rody pokrewne sobie tak nieszczęśliwe i w taki sposób dotknięte, jak my jesteśmy, a uwierzę ci — odrzekł smutno Marek — a przecież wszystka szlachta z szablą ma do czynienia. Mów, starcze, co wiesz, i co o tém myślisz, albo przyznaj, że nie chcesz powiedzieć.

— O nie! — stanowczo zaprzeczył Justus, ręce na piersiach wschodnim

obyczajem składając — ja chcę i muszę posłusznym być twoim rozkazom, o, potomku dobrego pana mego! ale ja lepiej daleko w gwiazdach czytam, niż to co się na ziemi dzieje rozumiem. Ale to prawda być musi, coś mówił, bo i ja czuję i wiem, że wpośród wszechświatów przestrzeni są jakoby zawieszone szale jakieś, na których ważoném bywa wszystko, od włosa ludzkiego i ptasiego piórka, aż do losów państw i światów samych, a szale owe zawsze muszą być w mierze!

— Tak, i ja to wiem, bo mię tak wiara ojców moich uczy — smutno rzekł Marek — i dla tego też do ciebie przychodzę. Jeżeli nie wiesz prawdziwej nieszczęść naszych przyczyny, to postaraj się za pomocą mądrości i nauki twęj ją odgadnąć. Proszę cię! Wuj Stanisław mówił mi, że ty choć Wielkiej Tajemnicy nie odkryłeś jeszcze, to prze-

cież posiadasz różne tajemnicze środki i sztuki, z jakimi nawet kryć się powinienes przed nieoświeconymi ludźmi, aby cię o czary nie posądzili.

Justus smutno głową pokiwał:

— Tak — rzekł — to są wszystko środki, służące do odkrycia Wielkiej Tajemnicy; same przez się jednakże nie wiele one znaczą. A zresztą — dodał starzec, spoglądając żałośnie na swoje tygłe — a zresztą szkoda czasu na szukanie czegoś, czego możemy nie znaleźć. Bo czyliż to już koniecznie nieszczęście rodu twojego ma mieć jakąś jedną i szczególną przyczynę?...



Któż wie, czy nie każdy z was zarabia oddzielnie na swe nieszczęście! Może niespokojny, niepohamowany umysł wasz jest przyczyną wszystkiego złego? Przypomnij sobie, czyś nie słyszał, aby który z twych przodków zginął właśnie z ręki tego, na którego nienawiść sam zasłużył?

— A i czemu mogliby przodkowie moi zarobić na nienawiść dzikiego Kantemira? — rzekł Marek — chyba tém, że bronili od niego swój ziemi; a przecież z jego to ręki spadły najokrutniejsze ciosy na naszą rodzinę.

— Kantemir? — powtórzył Justus zwolna, jakby coś sobie przypominając — nie umiem ci powiedzieć, dla czego tak się to dzieje, ale wiedz, że szale sprawiedliwości są właśnie dziwnie zrównane pod ciężarem, nie winy wprowadzie, ale nieszczęść i boleści waszych i Kantemirowych...

— Boleści! — krzyknął Marek — ha, starcze! ty nie rozumiesz chyba, co to jest boleść, kiedy możesz mówić o boleści takiego Kantemira, okrutnika wielkiego, potwora, z okropnością w oczach, jak u zwierza hyeny, jak opowiada pan Rzeszowski. Bóg tylko jeden może przemierzyć krew i łyzy, jakie on z krainy naszej wytoczył i wciąż wytacza! Czy ty możesz pojąć, co czuła matka moja i babka, gdy im pan Rzeszowski krwawe zwłoki syna i brata przywiózł? I Żółkiewska, prababka Regina, gdy jej tułów męża bez głowy i ręki przywieziono? gdy nocą i dniem widziała sercem rozdartém głowę męża hetmana zawieszoną i wiatrem wzruszaną u głównej bramy sułtańskiego seraju? Co czuła, gdy syn jej konał długo na jej rękach, aż skonał z ran Cecorskich? A wszystko to z Kantemirowej dłoni przyszło! I ty chcesz takie bóle z Kantemirowemi jakimiś tam równać!

Marek mówił te słowa ze łzami i z gniewem zarazem. Ale Justus głową pokiwiał:

— Czy ty nie wiesz, o dziecię — rzekł — że i ów zwierz hyena, im okrutniej w krwi cudzej się pastwi, tém potężniej własną krew swoją, rodzinę swoją miłuje? Otóż słuchaj! w roku 1624, a więc tym samym, w którym pani moja, Regina hetmanowa, przecierpiawszy, co tylko najboleśniejszego matka i małżonka cierpieć może, kładła na wieczny spoczynek własną głowę, w tym samym roku Kantemir krwawy powracał zwycięzcą do rodziny swojej, a dojeżdżając, czy wiesz co ujrzał przed domostwem swoim? oto całą rodzinę swą, którą w domu zostawił, drobną dziatwę i niewiasty pomordowane i nurzające we krwi wśród męczarni, a małżonkę swą, żywą jeszcze na poły, zwolna obracaną na rożnie przy potężnym ogniu... przez samego Szahin-Gireja, wroga swego.

— Oh! dosyć!... — szepnął ze wstrętem Marek

rycerski, wyciągając rękę przed się, jakby chciał przedstawiany mu straszny obraz odsunąć.

— Wiesz, że to jest bardzo pospolity wśród Tatarów zwyczaj w wojnach i wyprawach wzajemnych, ale słuchaj dalej — mówił starzec spokojnie. — Wiesz, że pod Uściem zabili mu dorosłego syna, którego musiał chyba kochać, skoro przy każdym morderstwie później ryczał, że mści się na Polakach za śmierć tamtą. Ale czy wiesz, co się teraz niedawno, może wczoraj stało? Oto wróg rodu twego, Kantemir krwawy, został wezwany do Sułtana przed obliczność Murata IV, który go rządcą Karahisarskiego sandżaku mianował. A Kantemir miał jeszcze jednego syna, Tatarzynka w twoim wieku, którego także ojciec chyba kochać musiał, skoro bał się zostawić samego, i z sobą zabrał. A swawolny po swojemu Tatarzynek zabił Turka jednego w Stambule, aby zobaczyć, czy krew Turka jest czerwona tak, jak chrześcijańska i tatarska, i Murat sułtan ściąć kazał Tatarzynka za to morderstwo: a gdy ciało to ostatniego syna położono przed ojcem, jak myślisz, czy nie równały się w owę chwilę szale sprawiedliwości, gdy na jednej z nich czerwieniła się krew twego wuja z nakazu Kantemira wytoczona? A potem... ale mniejsza to już rzecz, co potem było...

— Co takiego? mówisz, że to się stało niedawno? wczoraj może? a z kądże wiedziałbyś o tém tak prędko? Czyś to w gwiazdach wyczytał? Cóż jeszcze potem się stało? — badał Marek zdziwiony.

— Ej, nic... — odmrunknął Justus — nic, tylko sułtan Murat tak przeląkł się Kantemirowej rozpacz, że aby od zemsty się uchronić, kazał udusić Kantemira.

— I uduszą? — krzyknął Marek.

— Już uduszony — tamten poszepnął. — No cóż, czy szale sprawiedliwości nie stoją w mierze?...

Marek potrząsł głową, przecierając oczy, jak po śnie głębokim.

— Nie! — zawołał — choćby ten Kantemir i zginął, choćby i cierpiał, jak ród nasz cierpiał, to przecież ów straszny krwawy miecz był zawsze karą Bożą dla nas; więc ród nasz musiał na tę karę zasłużyć. Wezwij jeszcze na pomoc mądrość twoją, starcze, i poszukaj téj nieszczęsnej tajemnicy rodu mego.

— Będę szukał — rzekł starzec niechętnie, ale i posłusznie zarazem, i z żalem spoglądając znów na swoje tygle, roztworzywszy ogromną księgę na pulpicie leżącą, a pełną znaków kabalistycznych, wśród których znów widać było księżyc i gwiazdy, począł szybko oczyma przerzucać z niebios prawdziwych na księgę owę, z nić na Marka,

z niego na tabliczkę swoją, a z tej znowu na niebo, jakby karty jakiejś księgi przerzucał.

— Widzę — szepnął po chwili — widzę niewyraźne jakieś światelko, które mię kędyś prowadzi... nie rozumiem, ale czuję wątek tajemnicy, pójdź, pójdź za światłem... — Tak szepcząc niewyraźnie, i chwyciwszy Marka za rękę, zwrócił się ku drzwiom, wpatrzony mętnym wzrokiem przed siebie, jakby w istocie widział oczyma duszy światło jakieś niepewne, wskazujące mu drogę... Justus zdawał się śpieszyć za tym światłem, ale stawiając już nogę na progu laboratorium, nagle zachwiał się i ciężko oparł na Marku.

— Co to jest? — zapytał sam siebie zdziwiony, i zaraz dodał: — A, niema sił ciało moje: łatwo mi płać się po tej izdebce, ale trudno iść dalej; stare jest to ciało okrutnie, jak wiekowa sukmana zbutwiała, i samo zapomniało kiedy przestępowało próg ten. Ale czekaj, nauka poradzi na to... — I starzec, sięgnawszy ręką po maleńką flaszkę jakąś, połknął z niej odrobinę czerwonego płynu. Chwilę stał nieporuszony, jakby badając w sobie działanie płynu owego. A wtém cofnął się odeń Marek gwałtownie, na widok zmiany, zachodzącej w starca postaci.

Justus wyprostował schylone barki, podniósł czoło wspaniałe, barwa twarzy ożywiła się; był to zawsze starzec, ale silny i piękny starzec, zamiast suchej, połamanej mumii, jaką był przed chwilą.

— Pójdź! śpieszmy! — rzekł dźwięcznym, jak dźwięk metalu głosem, i prawą ręką chwycił dłoń cofającego się Marka.

— A więc ty już odkryłeś tajemnicę odmładzania! ty jesteś teraz daleko młodszy, niż byłeś! — zawołał Marek zdumiony. Ale Justus smutno odrzekł:

— Tak, na chwil kilka; śpieszmy, bo moc tego napoju niedoskonałego nie na długo odżywi siły moje. — I zeszedł starzec z dzieckiem po ciemnych schodach wieży, potem przez sienie i tajemne przejścia, zwykle po dawnych zamkach, aż przez krużganki, schody, galerie i sadu kawałek, unikając zawsze starannie oka ludzkiego; Justus wszedł do sklepionego gmachu, o jednej lampie, w głębi gęstych cieni płonących. Marek szybkim chodem zdyszany, z głową odurzoną tém, co słyszał, i mnóstwem krętych przejść, których ani połowy we własnym zamku nie znał, obejrzał się teraz bacznie i poznał, że znajdował się w kościele Żółkiewskim.

Teraz Justus wiódł go już wolniej w głąb świątyni, gdzie owa lampa płonęła. Doszedłszy tam, Marek ukląkł płacząc, bo przed nim wznosił się tylko co tegoż dnia zamknięty grobowiec Stanisława Daniłowicza. Ale Justus o tém nie wiedział, spojrzawszy też zdziwiony na swego małego towarzy-

sza, potem na czarny marmurowy grobowiec, i dopiero przeczytawszy napis na nim wyryty: *Aviti sanguinis altor. Nidoszły mściciel krwi dziada swego*, zrozumiał starzec płacz Marka. Potrząsnął smutno siwą brodą, i zaczął rozglądać się naokół, jakby czegoś szukając, i szepcząc:

— Niestety! jakże *widzenie* moje niedoskonałe jest: czuję, że powinienem był przyjść tutaj, aby spełnić rozkaz pana mego, ale nie wiem, jak to uczynić; trzeba się rozpatrzyć, zrozumieć co czynić, gdy oczyma ciała zobaczę *to*, po co mię duch tu przywiódł... — I rozpatrywał się Justus, nie przeszkadzając modłom Marka. Wśród cieni prędko spostrzegł drugi grobowiec i wyczytawszy na nim wyrazy: „*Wielkiego rodzica, do wielkich rzeczy zrodzony syn jedyny, umarł w r. 1623*, i znowu zrozumiawszy czyje zwłoki ten marmur przykrywa, westchnął ciężko, i dalej szukał tego czegoś, po co go tu przywiódło czy przeczucie niewyraźne, czy rzeczywiście tajemniczy jego wiedzy promyk, czy może, i to najprędzej właśnie, wspomnienie jakieś przedwiekowe. I znowu spostrzegł naprzeciw pomnika, przed którym Marek klęczał, po drugiej lewej stronie ołtarza, trzeci i najwspanialszy grobowiec, także z czarnego marmuru, i taki na nim napis wyryty odczytał: „*O quam dulce et decorum pro patria mori... Jak słodko i chlubnie umierać za ojczyznę, odemnie ucz się*“. Przeczytawszy, Justus złożył ręce na piersiach i padł na twarz w jakimś wschodnim pokłonie przed prochami wielkiego hetmana koronnego i kanclerza, którego on wedle wieści miał dziecięciem na rękach piastować. Powstając, spojrzawszy przypadkiem w górę i ujrawszy obok pomnika dwa portrety niewiast w stroju zakonnym, nagle położył rękę na sercu, i przystępując blisko do owych portretów, szepnął do siebie:

— To tu... tu coś być musi... — i bacznie jął portret jeden oglądać. Przeczytał napis pod nim: *Vae genti insurgenti... Biada narodowi na naród powstającemu, bo Pan Wszechmogący będzie się mścił nad niemi*“. Przypatrzył się temu portretowi spokojnie, lecz jakby senny, usiłujący rozbudzić się człowiek, a był to portret hetmanowej Żółkiewskiej Reginy, ale spojrzawszy z bliska na drugi portret, odskoczył odeń Justus i krzyknął:

— Jest! to ona! to pani moja! a tu źródło nieszczęścia waszego! chodź prędzej, bo siły opuszczają mię.

Na pierwszy okrzyk Justusa Marek już był przy nim i czytał napis pod drugim portretem, napis, który mu Justus palcem wskazywał, mówiąc: Tu jest źródło nieszczęścia waszego! — Napis ten było to znowu: „*Biada domowi rozdzielonemu prze-*

ciw sobie! dom rozdzielony przeciw sobie nie ostoi się“.

— Tu ma być źródło naszego nieszczęścia? jakże? wytłómacz mi słowa twoje, starcze! — rzekł Marek, spojrział na Justusa i zadrżał, bo piękny i silny przed chwilą starzec zmienił się znowu, tracąc szybko sztucznie wzniecone siły.

— Mów! mów co prędzej! dopóki czasu ci starczy! — błagał Marek ręce doń składając, a Justus tarł czoło, jakby usiłował coś przypomnieć i jał mówić bezładnie z wlepionemi w ów portret czerwonymi oczyma, dysząc z pośpiechu, aby co prędzej wypowiedzieć, co w duszy swój tak nagle odnalazł.

— Tak... to ona... stary krewny wasz... w młodocianej gwałtowności, pan mój, ciął go... ona patrząc wtedy wyrzekła w uniesieniu to... spostrzegła zaraz, przeległa się... nie zdjęła więc w życiu zakonnej téj sukni na przebłąkanie... wszystko próżno; tegoż wieczora Mars stanął przeciw waszej gwieździe... szabla przynosi wam nieszczęście... — Justus usiłował jeszcze mówić, lecz siły wyczerpane zawiodły go -- osunął się do stóp pomnika hetmańskiego, jak martwy. Marek sam nie wiedział co czynić; nachylił się nad osłabłym starcem, usiłując mu głowę podnieść, gdy dostrzegł w wychudłej jego ręce małą szklaną banieczkę, jakich niewiasty owoczesne do pachnideł używały; więc wziął ją z ręki zemdlonego i do ust i nosa mu zbliżył, odjąwszy szczelną zatyczkę; mocna i ostra woń uderzyła natychmiast nawet Marka powonienie, Justus roztworzył oczy, szepcząc zwykłym swym słabym a niecierpliwym głosem:

— Zamknij! zamknij bańkę! — Marek usłuchał natychmiast, czując jednakże, iż woń tajemniczą zwracała mu głowę. Starcowi przecież musiała ona być potrzebna, bo po krótkim spoczynku wstał z pomocą Marka, i trzymając wciąż banieczkę przy ustach, udał się wsparty na Marku do swego mieszkania, tą samą drogą, którą zeń przyszedł. Z niewypowiedzianym trudem tam go doprowadziwszy, próżno usiłował Marek wydobyć zeń jakieś dokładniejsze objaśnienie tego, co bezładnie wypowiedziane przy pomniku Żółkiewskiego usłyszał; starzec wysiłony, rozdrażniony stratą czasu, zdawał się nie pojmować, czego odeń żądano, prosząc tylko usilnie, aby go pozostawiono w spokoju. Marek musiał odejść nareszcie.

II.

— Marku! synu! — rzekł wojewoda pewnego poranku, gdy starszy syn stanął przed nim na jego wezwanie w komnacie przyległej do sypialni Żółkiewskich, w obecności wojewodziny:

— Marku! synu, słyszałem od macierzystych dziadów twoich, że jest zwyczaj w rodzie dziadków Żółkwi, aby każdy z nich, dziedzicem zostawszy, odwiedzał Justusa, tego uczonego starca, mieszkającego na szczycie wieży tego zamku; sądzę że i ty, jakkolwiek mały jesteś, powinienes zadość uczynić temu zwyczajowi; czy nie zabraknie ci odwagi iść samemu do Justusa?

— Już tam byłem... — wyszepnął zaczerwieniony chłopak, nie wiedząc, czy źle lub dobrze uczynił. Sobiescy rodzice spojrzeli na siebie.

— Kiedy? — spytał wojewoda, a Marek odpowiedział śmiało, bo w głosie wojewody gniewu nie było. Czekał potem Marek dalszych pytań, gotów opowiedzieć wszystko dokładnie, i o wyjaśnienie niezrozumiałych dlań rzeczy prosić, ale nie zapytano go wcale o nic więcej dotyczącego Justusa, więc on nie śmiał też wspominać o swój bytności w laboratorium. Rozmyślał tylko Marek dniem i nocą nad splątaną opowieścią starca, dotyczącą napisu pod portretem jednej z jego prababek; i utwierdził się z czasem w przekonaniu, że wszystko, co Justus mówił, było prawdą. Wieść sprawdzona o Kantemirowej śmierci, zaszłej w okolicznościach, w jakich wiedział ją Marek od Justusa, przyczyniła się także do utwierdzenia Marka w jego przekonaniu. Powiedział więc sobie Marek, że tajemnicą, że nieszczęściem jego rodu był ów wzmiankowany przez Justusa wypadek, gdy, czy to sam hetman Żółkiewski, czy też ojciec jego w młodzieńczem gniewnym uniesieniu porwał się z szablą na jakiegoś starca krewnego, a jedna z prababek widząc to, wyrzekła, ostrzegając młodzieńca, owe słowa wyryte pod jęj portretem, które stały się jakby wyrokiem dla dalszych rodu pokoleń. Jedna jeszcze okoliczność ostatecznie przekonała prawie Marka o prawdziwości jego domysłów. Oto tegoż samego dnia, w którym miał z wojewodą krótką owę o Justusie rozmowę, wszedł Marek do sypialni dziadów i wuja, która z czasem miała zostać jego sypialnia. i w wolnej od nauki z panem Rożenkiewi chwilą, jał z uwagą i uszanowaniem odczytywać wielką księgę, tam na pulpicie leżącą, a było to *Silva rerum* dziadów jego, i wuja. I oto co wyczytał Marek, już ręką wuja zapisane między innemi: „Anno domini 1633 na wojnę moskiewską idąc, postanawiam ja, Daniłowicz Stanisław, z osobiłszym sumptem i niezałowaniem krwie własnej wojnę tę odprawować. A to w wynagrodzeniu za postępek porywczy i zły, jakim uczynił był w Warszawie przed samym wyborem nowego króla Władysława Wazy, gdy ze starostą winnickim Kalinowskim, acz starym i przez Herburtów powinowatym, w kłótnią wszedłszy, wyzwałem go na rękę i porąbałem. Który to zły

postępek nawet mi łaskę nowego króla na czas usunął. A no cięższą w tém karę do dziś od własnego sumienia mam, porywczosci onę niegodziwej z serca żalując. Szczęście choć, że wyszedł z ran pan Kalinowski. A no co szpetny postępek był, to szpetny, aż wstyd“.

(D. c. n.).

ZŁOTE JABŁKA.

KOMEDYJKA W 2-ch AKTACH,

przez **Helene K.**

OSOBY.

OLEŚ (lat 10).

ZOSIA (lat 5).

MARYNIA (siostra Olesia lat 20).

P. ZYGMUNT (nauczyciel Olesia).

(Scena przedstawia pokój do nauki przeznaczony).

AKT I.

Scena 1.

P. ZYGMUNT i OLEŚ.

(Pan Zygmunt siedzi przy stole i czyta, Oleś chodzi po pokoju i trzymając książkę w ręku uczy się głośno).

Jak potopu świata fale

Zagrodzone w swoim biegu,

P. ZYGMUNT (nie podnosząc głowy z nad książki).

Zamrożone.

OLEŚ (poprawiając się).

Zamrożone w swoim biegu,

Stoją nagie Tatry... (zagląda do książki).

Ach!... w śniegu (z mocą)

Stoją nagie Tatry w śniegu

By graniczny trup zuchwały.

P. ZYGMUNT (śmiejąc się głośno).

A to co takiego? Zkąd wziąłeś znowu tego trupa? Cóż ci się stało, Olesiu, już blisko pół godziny, jak uczysz się tych wierszy i nic dotąd nie umiesz.

OLEŚ (trochę zawstydzony).

Bo takie jakieś trudne...

P. ZYGMUNT.

Wiersze Pola trudne?... i to dla ciebie, który je tak lubisz, to niepodobna! Coś mi się zdaje, że ty nic a nic nie uważasz na to, czego się uczysz. Jakież to znowu wróble po tej pustej głowie latają? (palcem wskazuje głowę Olesia).

OLEŚ (z miną figlarną).

Jeden tylko, ale wielki.

P. ZYGMUNT.

Doprawdy? a to ciekawe, tylko że teraz musimy go koniecznie wypłoszyć. Już jest trzecia, trze-

ba się nam brać do lekcji, a ty tych wierszy jeszcze nie umiesz. Daj mi książkę, będziemy się ich razem uczyli.

OLEŚ (podaje książkę).

Ja już je umiem.

P. ZYGMUNT.

Jeżeli tak, to powtórz.

OLEŚ (staje przed nim i mówi deklamując).

Jak potoku świata fale,

P. ZYGMUNT.

Powtórz raz jeszcze.

OLEŚ.

Jak potoku... Ach! cóż ja mówię.

Jak potopu...

P. ZYGMUNT.

To co innego, uważaj, proszę cię.

OLEŚ.

Jak potopu świata fale,

Za... mrożone w swoim biegu,

Stoją nagie...

P. ZYGMUNT (podpowiadając).

Tatry.

OLEŚ (szybko)...

Tatry w śniegu,

By graniczny... (mówi). Teraz to już się nie pomylę... słup zuchwały! (tryumfując). A co? umiem.

P. ZYGMUNT.

Ale to nie dość słowa powtarzać, trzeba je wypowiedzieć gładko, bez jękania się, ze zrozumieniem rzeczy. Powtórz raz jeszcze.

OLEŚ (wzdycha).

Ach!... (dekluje). Jak potoku...

P. ZYGMUNT.

Znowu?

OLEŚ (rzuca mu się na szyję).

Panie Zygmuncie, ja się dziś uczyć nie mogę, bo nic a nic nie rozumiem i nic nie pamiętam.

P. ZYGMUNT.

A to dla czego?

OLEŚ.

Czyż pan nie wie?

P. ZYGMUNT.

Cóż mam wiedzieć? Tłómacz się jaśniej.

OLEŚ.

Zosia dziś przyjeżdża!

P. ZYGMUNT.

To jeszcze nie racya, abyś lekcji nie mógł robić,

OLEŚ

Chyba pan nie wie?

P. ZYGMUNT.

Jesteś bardzo zagadkowy, mój Olesiu. Wiem, że przyjeżdża dziś Zosia, sierotka, córka przyjaciółki twojej matki, która ją bierze do siebie, a panna Marya ma ją uczyć.

OLEŚ (*z miną uroczystą*).

A ja mam być jój opiekunem.

P. ZYGMUNT (*uśmiewając się*).

Doprawdy?

OLEŚ (*poważnie*).

Tak jest, mama powiedziała mi wczoraj: Ole-siu, będziesz się opiekował Zosią; pamiętaj być dla niej dobrym, zabawiać ją, pilnować, aby się jój co złego nie stało, nawet dogadzać, boś starszy i możesz już być jój opiekunem (*zaczyna chodzić po pokoju*). Jak ja mogę dzisiaj lekcye robić, kiedy o tylu rzeczach mam myśleć?

P. ZYGMUNT.

Rzeczywiście, że godność opiekuna niemałe obowiązki na ciebie wkłada, zwłaszcza, gdy kto jest tak roztrzepanym, jak pan Aleksander. Przecież opiekun powinien o wiele więcej umieć od swój pupilki, i pilnie się uczyć, aby go ona nie prześcignęła w nauce. Ale dziś widzę cię tak roztargnionym, że z lekcyi kwituję i idę do siebie listy pisać. Tylko pamiętaj dobrze mi się tych wierszy na jutro nauczyć.

OLEŚ (*rzuca mu się na szyję*).

Dziękuję, dziękuję, mój dobry panie Zygmuncie.

(*P. Zygmunt wychodzi*).

Scena 2.

OLEŚ (*sam*).

OLEŚ.

Kocham za to pana Zygmunta, że położenie moje zrozumiał. Korzystajmyż z tego wolnego czasu, aby się zastanowić, jak to ja mam z Zosią postępować, ja, jój opiekun! Hum!... opiekun! Co też to opiekun powinien robić? (*zamyśla się*) ubierać ją?... Eh! to nie, to nie moja rzecz; przecież ją służąca ubierze. Karmić?... Cóż znowu... przecież to już nie takie dziecko, aby ją trzeba było karmić. Zzeszta opiekun, to nie niańka. A!... przecież pan Turowski jest opiekunem Maryni, trzeba sobie przypomnieć, jak też on z nią postępuje (*zamyśla się*). Marynia pana Turowskiego w rękę całuje. Czyżby i mnie Zosia miała w rękę całować? Ale gdzieżtam, nie pozwolę, przecież ja za młody (*po chwili*). Przeciwnie, ja ją będę w rękę całował, i powiem, jak pan Turowski; (*naśladując grubą głosem męzki*) Moja śliczna pupilko! No, to dobrze, teraz już wiem, jakie stanowisko zachować, ale co dalej? (*namyśla się i mówi z wolna*) Mama powiedziała: Bądź dla niej dobrym, zabawiaj ją. To już nie będzie tak trndne. Posadzę ją na kucyka, oddam jej łuk, strzelbę, nawet i kaszkiet pożyczę. (*uderza się w czoło*) Jaki ze mnie roztrzepaniec! przecież to dziewczyna! nie dla niej wszystkie nasze rozrywki i przyjemności. Co za szkoda, że ona nie chłopiec! Oj, kłopot to, kłopot nie mały!

Przecież lalkami bawić się z nią nie będę?... Ha, a jak koniecznie zechce? to i to trzeba będzie zrobić. (*słychać turkot*) Może to już ona jedzie? (*wygląda oknem*) Tak, poznaję nasze konie. Trzeba wyjść naprzeciw. (*biegnie, potem wraca się*) Nie, może będzie lepiej spokojnie tu na nią poczekać. Siadę sobie i wezmę książkę. (*siada, a w tejże chwili słychać cieniutki głosik za sceną*) Gdzie ten Oleś. (*Oleś zrywa się, Zosia o mnie pyta, muszę biedz* (*wybiega*).

Scena 3.

MARYNIA, ZOSIA i OLEŚ.

MARYNIA (*trzymając Zosię za rękę*).

Nie bój się, Zosieczko, przecież to ten Oleś, o którym ci tyle mówiłam. To będzie twój bratciszek.

OLEŚ (*podchwytyjąc*).

I opiekun.

ZOSIA (*patrząc na niego z pod oku*).

Zosia nie chce opiekuna.

OLEŚ (*chcąc ją wziąć za rękę*).

Moja śliczna pupilko.

ZOSIA (*z krzykiem rękę wyrzywa i tuli się do Maryni*).

Zosia boi się tego chłopczyka.

OLEŚ (*cofa się z niezadowolaniem*).

Jaka ona dzika.

MARYNIA.

Bo zbyt obcesowo bierzesz się do niej. Pozwól jój się rozpatrzyć, oswoić ze wszystkimi. Biedne dziewczątko, tyle nowych twarzy na raz widzi; nic dziwnego, że się trochę boi (*siada i bierze Zosię na kolana*). Nieładnie, że Zosieczka krzyczy, gdy ją Oleś chce wziąć za rękę. Oleś grzeczny i dobry, nic złego Zosi nie robi. Zosia Olesia pokocha.

OLEŚ (*z zapalem*).

Zosiu! zrobię wszystko, co tylko zechcesz, bo ja twój opiekun! Zosia trochę strwożona chowa główkę na ramieniu Maryni).

MARYNIA (*śmiejąc się*).

Mój Olesiu, Zosia jeszcze za mała, by rozumieć mogła, co znaczy sam wyraz opiekun, a twoja gotowość dogadzania jój, objawiająca się wykrzyknikami, straszy ją tylko.

OLEŚ (*zmartwiony*).

Cóż więc mam robić?

MARYNIA.

Naprzód zabaw ją teraz, potem żyj z nią w zgodzie, nie sprzeczasz się, nie dokuczaj, jak to czasem chłopczyki dziewczynkom dokuczać umieją, a dopiero gdy wyrośniesz i zostaniesz człowiekiem dojrzałym i wykształconym, wtenczas będziesz mógł na seryo zaopiekować się Zosią.

OLEŚ.

Och! Maryniu, przecież i teraz mama na seryo

do mnie mówiła *(z nadąsaniem)*. Tybyś zawsze chciała, ażebyś był dzieckiem.

MARYNIA *(uśmiechając się)*.

Niech i tak będzie, tylko cię jeszcze przestrzegam, abyś się na Zosię tak często jak na mnie nie obrażał.

OLEŚ.

Ja, nigdy!

MARYNIA.

A więc zostawiam Zosię *(z naciskiem)* pod twoją opieką, a sama idę podwieczorek przygotować.

OLEŚ *(uradowany, rzuca się jej na szyję)*.

Maryniu, jaka ty dobra! *(Marynia wstaje i Zosię stawia na ziemi)*.

ZOSIA *(czepiając się jej sukni)*.

Ja nie chcę zostać, chcę iść z tobą.

MARYNIA.

Zostań, Zosieczko, pobaw się z Olesiem, a ja wam podwieczorek przygotowuję. Czy Zosia lubi konfiturki?

ZOSIA *(uśmiechając się)*.

Bardzo lubi konfiturki *(kłaszcząc w ręce konfiturki)*.

OLEŚ *(uradowany)*.

Zobaczysz, Zosiu, codzień będę ci dawał konfiturki.

MARYNIA.

O, bardzo cię tylko proszę, abyś mi Zosi nie okarmił, bo może się rozchorować. Zapowiem nawet klucznicy, aby bez mego pozwolenia nic ci nie wydawała.

OLEŚ.

A jeżeli ona koniecznie będzie chciała?

MARYNIA.

Przecież i tobie nie dają wszystkiego, czego ci się tylko zachciewa. Pamiętasz w przeszłym tygodniu u wujostwa, co to z tém winem było?

OLEŚ.

Masz słuszość. Nie Zosiu, nie będę ci dawał codzień konfiturek.

ZOSIA *(krzywiąc się do płaczu)*.

Zosia chce konfiturek.

MARYNIA *(całując ją)*.

I będziesz je dzisiaj miała, a teraz, dzieci, bawcie się grzecznie i wesoło *(wychodzi)*.

Scena 4.

OLEŚ i ZOSIA.

OLEŚ *(do siebie)*.

Od czego zacząć?

ZOSIA *(patrzy przez chwilę na niego, potem obraca się ku drzwiom)*.

Ja chcę iść do Maryni.

OLEŚ *(bierze ją lekko za rączkę)*.

Chcesz, Zosiu, zabawek?

ZOSIA *(nie opierając się)*.

A lalkę masz?

OLEŚ *(na stronie)*.

Ach! te dziewczęta, zaraz o lalkę pytają! nie zapytałabyś lepiej o konia *(do Zosi)*. Lalki nie mam, bo ja chłopiec; ale jakiego ja mam konia!...

ZOSIA *(z ciekawością)*.

Zywego?

OLEŚ.

Naturalnie *(na stronie)*. Ona myśli, że ja się jeszcze drewnianym konikiem bawię.

ZOSIA.

Pokaż konia.

OLEŚ.

Zaraz ci go przyprowadzę *(idzie i zatrzymuje się)*. Nie mogę jej jednak samej zostawić, co tu zrobić *(wraca)*. Potem ci go, Zosiu, przyprowadzę.

ZOSIA.

Ja chcę teraz.

OLEŚ.

Ależ Zosiu, nie mogę od ciebie odejść, przecież ja twój opiekun.

ZOSIA.

Nie chcę opiekuna, tylko konia.

OLEŚ *(na stronie)*.

Jednak ona bardzo jeszcze dziecinna.

ZOSIA.

Zosia będzie płakać.

OLEŚ *(na stronie)*.

Co tu robić? nowy kłopot *(głośno i stanowczo)* konika potem przyprowadzę, a teraz pokażę ci, Zosiu, obrazki. Lubisz, Zosiu, obrazki!

ZOSIA *(wesoło)*.

Gdzie obrazki?

OLEŚ *(na stronie)*.

A co, jak sobie poradziłem. Co tam Marynia mówi, że trzeba być mężczyzną skończonym, aby zostać prawdziwym opiekunem *(bierze książkę i rozkłada ją przed Zosią)*. Widzisz, Zosiu, to kot, znasz kota; miau, miau, tylko to taki duży kot, nazywają go tygrysem. A to niby pies, także szczeka: hau, hau, ale nie tak przyjemnie, jak nasze psy; nazywa się szakal, a to hyeny. W nocy to tak strasznie wyją: hu! hu! *(Zosia, to na książkę, to na Olesia patrzy ciekawie)*. A te, Zosiu, to król zwierząt, lew. Pewnie nigdy lwa nie widziałaś, a ja go widziałem w Warszawie. Taki wielki, straszny *(robi straszną minę, oczy szeroko roztwierając)* a jak ryknął!... *(udaje ryk lwa)*.

ZOSIA *(zakrywa sobie rączkami oczy i ucieka w głąb pokoju)*.

Boję się, boję się!

OLEŚ *(biegnie za nią)*.

Ależ Zosiu, chciałem ci tylko lwa pokazać.

ZOSIA *(tak jak wyżej)*.

Boję się, boję się!

OLEŚ (*usuwaając rękę*).

No, patrz, przecież to ja, Oleś.

ZOSIA (*trwożliwie się oglądając*).

Nie chcę już lwa.

OLEŚ.

Już ci go nie pokażę, chodź, będziemy dalej patrzyli.

ZOSIA.

Nie chcę, chcę iść do Maryni.

OLEŚ (*do siebie*).

Znowu, a jak pójdzie do Maryni, to ta pomyśli, że nie umiałem jej zabawić. A! wiem już co zrobić! Zosiu, widziałas ty kiedy młynka?

ZOSIA.

Nie.

OLEŚ.

To ci go pokażę (*wykonywa młynek, jak to robią chłopcy na gimnastyce*). *Opiera się o ziemię prawą ręką i prawą nogą, potem podnosi nogę i tylko z pomocą ręki czyni obrót tak, że naprzód lewa ręka a potem i noga opiera się o ziemię. Obróty te ciągle powtarza. Są chłopcy którzy to bardzo zręcznie wykonywają. Oleś powinien także szybko się obracać. Zosia biegnie za nim i w dłonie klaszcze, wołając: Jeszcze, jeszcze! ale w szybkim rozpędzie Oleś potrąca biegnącą Zosię i oboje padają. Zosia w krzyk, wbiega Marynia.*

(D. c. n.).

DO DZIECI.

Dzieci moje, czy wy znacie
Ku dobremu wszystkie drogi?
Czy was w życiu nie omyli
Krętych ścieżek błędny ślad?
Czy zdołacie w każdej chwili
Zwalczyć pokus zastęp mnogi —
I w niewinnej, białej szacie,
Przejść przez ziemię pełną zrad?

Któż odgadnie jakie burze,
Jaki cień wam zrani serce?
Jaki chłód uczucie zziębni,
I namaści bólem skroń?
Gdy myśl tonie w marzeń głębi,
Gdy pierś słabnie w walk rozterce —
Któż wam poda szczęścia róże?
Kto z przyjaźnią ujmie dłoń?

W młodej głowie, w sercu młodem,
Co ochoczo na świat bieży.
Każda prawie chęć — zawodem,
Każdy kwiat się cierniem jeży...
Więc z miłości i z sumienia,
Szczere niosę napomnienia —

Jak w pacierzu, z woli Boga,
W nich zbawienia tkwi przestroga.

Choć wam smutek kryje lica,
I przeciwność życiem miota,
Choć się sroży nawałnica —
Niech puklerzem będzie cnota...
Wiarą w niebo nieomylni,
I miłością bądźcie silni!
I niech każde z was pamięta:
Obowiązek — to rzecz święta.

O. Skibińska.

PUSZCZA BIAŁOWIEZKA.

Zapoznaliśmy was niedawno z siedzibą Kurpiów ¹⁾ teraz zajrzymy do innej puszczy, która was także bliżej obchodzić powinna od australskich i amerykańskich. O puszczy białowiezkiej niejedną zapewne z czytelników naszych wie tylko tyle, że w niej ostatnie schronienie znalazły żubry, wytępione oddawna we wszystkich innych okolicach Europy, bo o tym to już chyba każdy zasłyszeć musiał, te żubry stanowią największą sławę białowiezkiej puszczy.

Rozległe lasy, noszące tę nazwę, zajmują około 25 mil kwadratowych w guberni grodzieńskiej, rzeki Biała i Lśna odgraniczają je od miejsc otwartych na południe, pośród nieprzebranych mokradeł i zarośli bierze początek swój Narew i przerywa puszcze od strony wschodniej, mnóstwo innych strumieni ją skrapia w różnych kierunkach, między innymi Narewka, spławiająca statki ładowe. Wspaniałe drzewa, na setki lat wiek swój liczące, porastają gęstwiny, można tam napotkać najrozmaitsze gatunki iglastych i liściastych: sosny, jodły, świerki, dęby, lipy, klony, wiąz, jesion, cis, brzoza i wierzba, braknie tylko jednego modrzewia, któremu zapewne grunt lub klimat tu nie sprzyja. W gąszczach leśnych przeróżne zwierzęta mają swe legowiska, oprócz żubrów mnóstwo tam jest łosi, dzików, sarn, a z drapieżnych pełno szczególnie rysiów, przesiadujących na drzewach. Na wybrzeżach rzek pojawiają się rzadkie już dziś niezmiernie w Europie bobry, a jak ktoś niedawno donosił z tamtych stron do dzienników warszawskich, przemysłne zwierzęta niekiedy nawet budują tam swoje domki.

Najpierw podamy wam niektóre historyczne wiadomości o puszczy białowiezkiej, czerpiąc je przeważnie z dzieła Michała Balińskiego, pod tytu-

¹⁾ Puszcza Myszyniecka i jej mieszkańcy str. 23.

łem: *Starożytna Polska*. Najpierwsza wzmianka pewniejsza o puszczy białowiezkiej sięga panowania Władysława Jagiełły. Król ten lubił w niej polować, gdyż znajdował tam obfitość wszelkiej zwierzyny, a zwłaszcza żubrów, które tu zawsze w większej ilości niż w innych lasach przebywały. Król Jagiełło wraz z Witoldem w r. 1409 przez ośm dni odbywali tu łowy, nie tylko dla rozrywki, ale także w celu zaopatrzenia się w mięso dla wojska przed wyprawą na Krzyżaków. Ubiwszy ogro-

wieżę, a o ćwierć mili inne, przez lud *Zamczyskiem* nazywane. Musiał to być dwór myśliwski, drewniany zamek królewski, który od bielejących wieżyc swoich mógł być przezwany *Biało-wieżą*, od czego i cała puszcza wzięła później nazwę. Dziś Białowieżę nazywa się wielką wieś, po samym środku puszczy leżąca. Polowali tu także później obaj Zygmunty, a częściej jeszcze Stefan Batory, który był wielkim łowów miłośnikiem. Do-
tąd w jednym miejscu pokazują wzgórze, zwane



to pana uleczy — mówi poczciwiec (str. 157).

mną moc zwierzyny, kazali nasolić, i naładowane nią beczki przez Narew i Wisłę do Płocka spławić. Potem znów w r. 1426, gdy wielki mór w Polsce i Litwie grasował, schronili się tu Jagiełło z Witoldem wraz z rodzinami swymi. Król uległ przypadkowi, potłukł się, gdy koń na polowaniu pod nim upadł.

Zapewne już od tej pory znajdowała się jedyna w tej niezmierniej puszczy osada zamieszkała, tam, gdzie do dziś wskazują miejsce zwane *Starą Biało-*

Górą Batorową. W pobliżu źródeł rzeki Jelarki część pięknego lasu nazywają znów *Zwierzyniec królewskim*. Jest to wielki i suchy ostęp, zarosły przeważnie odwiecznymi dębami, które wdzięcznie oplatają zwoje bluszczów.

Najwspanialsze łowy odbywały się w puszczy białowiezkiej za panowania Sasów. Królowie ci, mając myślistwo urządzone na wielką skalę, obyczajem niemieckim, nieraz tam pośpieszali, zadowolnić upodobanie swoje do tej rozrywki. Pamiętne

są łowy, które odbywał August III w r. 1752, w dniu 27 Września, z królową i dwoma królewiczami, z licznyim poczem panów niemieckich i polskich, pomiędzy którymi odznaczał się najslawniejszy owego czasu myśliwy, Jan Wielopolski. Ubito 42 żubry, 13 łosiów i niezliczoną moc innéj zwierzyny. Sama królowa miała zabić 20 żubrów. Król August III na pamiątkę tych świetnych łowów kazał zbudować nad brzegiem Narewki, we wsi Białowieży, blisko mostu, pomnik z kamienia piaskowego z napisem polskim i niemieckim, zawierającym datę łowów, nazwiska uczestniczących w nich znakomitych osób i ilość zabitéj zwierzyny. Kazał też August III pobudować w téj wsi piękny dom myśliwski na wzgórzu, ocieniony wierzbą i olszyną; dom ten drewniany, ale dość okazały, stoi dotąd, otacza go rozległy ogród. Nakoniec i król Stanisław August, powracając z sejmu grodzieńskiego, polował przez dni kilka w puszczy białowieżkiej, a na przyjęcie jego dobudowano do owego myśliwskiego domu dwie wielkie oficyny.

Wspaniałe lasy białowieżkie zawsze szczególniejszą opieką rządu były otaczane; w dawniejszych czasach nigdy ręka ludzka toporem nie śmiała dotknąć rosnących w głębi puszczy drzew odwiecznych, same one upadały od późnéj starości albo od burzy, zalegając ogromnemi stosami pni obalonych, które głucho ustronia jeszcze mniej dostępnemi czyniły. Jednéj części lasów nadawano nawet miano *Nieznawów*; tam spiętrzone olbrzymie powały ogromnych pnieszchłych i połamanych, spletane z wyrosłemi na nowo z pomiędzy nich drzewami, rzeczywiście niedostępne tworzyły ustronie i zupełnie były nieznane nawet strażnikom leśnym. Tylko po brzegach puszczy rąbano drzewo, spławiano po rzekach, jako materiał budowlany i wyrabiano na miejscu potaż i smołę. Dochód ztąd przynosił do królewskiej szkatuły 100,000 złp. rocznie. Oddawna także statut litewski surowo zabraniał wytępienia żubrów.

Ludzie ciekawsi są zawsze dalekich, zamorskich krajów, aniżeli własnéj swojej ziemi, nie słyhać jakoś nigdy, aby ktoś wybrał się umyślnie dla zwiedzenia puszczy białowieżkiej, chociaż podróż ta też byłaby ani zbyt trudna, ani zbyt kosztowna. To też z przyjemném bardzo zdziwieniem napotkaliśmy niedawno w *Wędrowcu*, czasopiśmie wychodzącém w Warszawie, opis wycieczki do Białowieży, odbytej przez pana Władysława Zaleskiego. Możemy więc z tego opisu zaczerpnąć najpewniejsze wiadomości o teraźniejszym stanie puszczy.

Autor wyjechał z Warszawy przed południem koleją Terespolską, stanął około siódméj w Brześciu, przesiadł się następnie na kolój moskiewsko brzeską, dojechał o dziewiątej do stacyi Liniewa,

a ztamtąd już wózkiem pocztowym wyruszył do Prużan, miasta powiatowego; w powiecie tym właśnie leży Białowieża. Gościńce pocztowe na Litwie nie szczególnéj używają sławy, skoro, jak powiada autor, woźnice żegnają się, wyruszając w drogę i proszą Boga o zachowanie całości nóg końskich, kół i osi. Po drodze z Liniewa do Prużan grunt jest tak błotnisty, że nigdzie prawie na gościńcu suchą nogą stanąć nie można, a konie, wózki i woźnice od ciągłego błota przybierają szaro-brudną barwę.

Przenocowawszy w Prużanach, puścił się autor w dalszą drogę, wieczorem dopiero wjechał do lasu, przez który gościniec ciągnie się blisko trzy mile do saméj Białowieży. „Pierwsze pytanie, powiada, które zadałem mojemu woźnicy było, czy gdzie żubra nie spotkamy; odpowiedział mi na to, że chociaż od lat wielu jeździł po téj drodze, nigdy jeszcze tego zwierza nie spotkał, gdyż żubry siedzą głęboko w puszczy. Widywał je tylko w zwierzynicy i to rzadko, gdyż bez potrzeby nikogo tam nie wpuszczają. Lud tamtejszy jest tak leniwy, że nigdy stu kroków nie zrobi darmo i nic też dziwnego, że rodzą się tam i umierają ludzie, którzy nigdy w życiu żubra nie widzieli.

Nie pocieszyło mię to wcale, gdyż pewny byłem, że zobaczę krainę pełną żubrów, niedźwiedzi, wilków, że będę je po drodze spotykał i będę miał z nimi niejedną przygodę, a tu tymczasem może i nic z tego nie będzie! Konie szły noga za nogą, prosto, tak mi się przynajmniej zdawało, gdyż pomimo nieba gwieździstego, noc była ciemna, jak otchłań. Czasem stapały konie po błocie lub wodzie, czasem znów słyszałem ocieranie się kół o piasek, lub podskakiwanie bryczki po korzeniach drzew lub kłodach jakiego mostu; słowem było to wszystko okropnie nudne. Godziny nawet nie mogłem dojrzec na zegarku z powodu ciemności, a przytém zimno dokuczało, pomimo ciepłego palto. Po czterogodzinnej jeździe wjechaliśmy do Białowieży, prosto z lasu do wsi. Woźnica wysadził mię przed karczmą żydowską, gdzie miałem przenocować. Tu przepędziłem resztę nocy, obawiając się położyć na podejrzaném łóżku, to jest po prostu, nie rozbierając się przesiedziałem na ławie.

O świcie wyszedłem z karczmy. Drżałem z zimna po takiém niewyspaniu, ale ciekawość brała górę. Prześliczny był widok wschodzącego słońca nad lasami jeszcze parującemi. Cudnie wyglądała mgła, kłębamijąca się po ziemi i wodach, lilowe chmury z czerwonymi brzeżkami, pod któremi jaśniał kawałek wydobywającego się słońca, oblewającego ponsowém światłem obłoki, a okolice porannymi niebieskawym odcieniem. Szczególniej

sosny ślicznie wyglądały ze swoją ciemną zielenią, pogrążoną w smugach mgły, z pniami oświetlonymi od spodu czerwono-złotem światłem. Gdy słońce do połowy się pokazało, kolor czerwony przemienił się w ciemno-żółty, następnie w jasne dzienne światło i tylko na wschodzie pozostało kilka różowych chmurek, oraz para biała, szybko uciekająca przed promieniami słońca“.

Z dalszego opisu streścimy tu niektóre, bardziej zajmujące ustępy. Wieś Białowieża nie przedstawia nic osobliwego, zabudowana jest tak samo, jak wszystkie wsi litewskie, trochę okazałości jej dodaje pałac cesarski, ten sam budynek drewniany, rozszerzony dla Stanisława Augusta, o którym wspomina Baliński w Starożytnéj Polsce. Przy pałacu jest ogród dość starannie utrzymany.

Zwierzyniec o trzy wiorsty od wsi oddalony, zajmuje 144 wiorsty kwadratowe, jest to czworokąt, którego boki mają po 12 wiorst długości, otoczony mocną palisadą. Grunt tam jest falisty, u stóp wzgórz ciągną się równiny, poprzerzynane strumieniami, które tworzą kiedyniekiedy mokradła i małe jeziora. Gęsty las ze starodrzewiu porasta go prawie całkowicie, gdzieś tam tylko przerywają go błotniste łączki. Najpysniejsze drzewa wszelkiego rodzaju nagromadzone są w tym zwierzyńcu. Olbrzymie dęby, dochodzące czterystu lat i wyżej, wspaniałe sosny i świerki, wysokie a proste jodły masztowe, olchy i brzozy płaczące, wszystko to pomieszane z sobą. W puszczy znów po większej części drzewa jednego gatunku pokrywają znaczne przestrzenie, i tak: na wzgórzach rosną dęby, na piaskach sosny, na twardéj, kamienistej ziemi świerki i jodły, na błotach olchy lub brzozy, czasem po kilka wiorst ciągnie się jeden rodzaj drzew, rzadko kiedy natrafić można na las mieszany.

„Silić się naprózno nie będę, powiada autor, na opisanie wspaniałych widoków zwierzyńca, lasów piętrzących się po wzgórzach, polanek i parowów gęsto zarośniętych, jeziorek odbijających w nurtach swych drzewa nadbrzeżne, łączek, wyglądających wśród niebotycznych dębów, jak głębokie studnie, ani téj gry zieloności, od czarnej prawie na jodłach, do jasno zielonej na dębach. Niema chyba tak wspaniałego parku, jak białowiezki zwierzyniec, z którym tylko dziewicze lasy Brazylii mogą iść w zawody“.

Zwierzyniec białowiezki wygląda zupełnie jak las dziki, niema w nim wcale udeptanych ścieżek i nieraz przedzierać się tam potrzeba przez takie gęszcze krzaków i gałęzi, że na twarzy i rękach, równie jak na odzieniu, pozostają ślady trudnej przeprawy. Hodują w tym zwierzyńcu kilkadziesiąt żubrów, mnóstwo jeleni, danieli, saren, a tak-

że łosi i dzików. Żubry, nie tylko w zwierzyńcu, ale i w puszczy, nawykły już oddawna do pewnych wygódek, o których leśnicy pamiętać muszą. Trudno nawet odgadnąć, jak żyły dawniej, kiedy im nikt nie usługiwał. Zwierzęta te żywią się głównie pewną rośliną, podobną do koniczyzny i zwaną żubrowką. Leśnicy starannie tę paszę koszą, składają w stogi i przed zimą rozwożą po szopach rozrzuconych w całej puszczy. Żubry tak już są przyzwyczajone do tego, że jak tylko mróz zwarzy paszę, lub śnieg ziemię pokryje, zaraz się schodzą do swoich zimowych legowisk w pobliżu owych szop i zaczynają siano zjadać, jakby swoje własne. Na wiosnę wychodzą znów na świeżą paszę i w jesieni dopiero powracają. Samice z cielętami łączą się w liczne stada i wtenczas są tak lekkie o swoją dziatwę, że je każdy z łatwością spłoszyć może. Ale stare żubry, pojedynczo włóczące się po lesie, są czasem bardzo niebezpieczne; siła ich jest ogromna, zdarza się nieraz, że taki żubr rozdrażniony zrzuci dach z chaty leśnika, chlewek lub stodołę rozwali zupełnie. W lesie przebija się przez największe gęszcze, toruje sobie drogę, łamiąc i gruchocąc gałęzie, młode drzewka i krzaki.

Według obliczenia leśników, które nie może być bardzo dokładne, w puszczy białowiezkiej przebywa przeszło 700 żubrów. Zwierz ten żyje bardzo długo, średni wiek jego wynosi trzydzieści lat, często dochodzi czterdziestu. Średni żubr miewa ze trzy łokcie wysokości do karku, długości przeszło cztery, olbrzymi kark obrożniony jest długą, spadającą z obu stron grzywą, na głowie ma czuprynę, zasłaniającą oczy, rogi krótkie, grube, do środka głowy zagięte, brodę gęstą pod dolną szczęką, na końcu ogona puszystą kitkę. Młode mają sierść brunatną, starsze prawie czarną, na grzywie i brodzie siwą. Żubry białowiezkie mają być znacznie większe od amerykańskich i kaukaskich.

Po żubrach najokazalsze są łosie, których wielkie mnóstwo żyje w puszczy. Jelenie pojawiają się bardzo rzadko, podobno wyginęły kiedyś w czasie ostréj zimy. Ze zwierząt drapieżnych najwięcej jest rysiów, mnóstwo lisów, kun i tchórzów, wilków bardzo mało, gdyż wytępiono je prawie zupełnie, chyba który z dalszych okolic tu się zabłąka. Niedźwiedzie także nie bywają stałemi mieszkańcami puszczy, tylko z mińskiej guberni czasem tu przywędrowują. Widziano jednak straszliwe walki żubrów z niedźwiedziami. Obaj zapasnicy są równie silni i zawsze jeden paść musi w tym pojedynku. Niedźwiedź staje dęba, opierając się o drzewo, za które cofa się w potrzebie i łapą godzi w łeb żubra. Jeżeli go ogłuszy uderzeniem, to go natychmiast rozdziera, ale często

nie zdąży schować się za drzewo i żubr, uderzając go w brzuch rogami, na miejscu zabija.

Mnóstwo orłów i innych ptaków drapieżnych gnieździ się w gąszczach leśnych, wieczorem wylatują na żer sowy i puhacze, drobnych ptaszek tu niewiele, gdyż tępią je drapieżne różne istoty, za to obfitość wszędzie cietrzewi, głuszców, jarząbków, a na wodach i błotach czapli, kaczek i bekasów.

Przytoczymy wam jeszcze na zakończenie opis wycieczki po rzece w głąb puszczy, którą odbył ten sam podróżnik. „Ruszyliśmy małym czółnem zbitem z desek i wylanem smołą; pomimo to pełno w niem było wody na dnie. Dla mnie na środku na wiązce siana usłano wysokie siedzenie, za mną stał chłopak z wiosłem. Bieg wody był tak wolny, że nie mogłem rozpoznać, czy płyniemy z wodą czy pod wodę. Głębokość zależy od szerokości. Czasem wiosłem dna nie było można dostać, a czasem znów łódka ocierała się o muł i piasek. Widoki były cudowne, szczególnie w miejscach, gdzie rzeka się rozlewała po lesie, tak że trudno było odnaleźć prawdziwe jej łóżyisko. W tych miejscach, wymijając ostrożnie drzewa, płynęliśmy wśród lasu wyrastającego z wody, a jak oko sięgało, nigdzie ziemi nie było widać. Przypomniały mi się malownicze opisy Mayne-Reida puszczy wodnej w lesie. Nad głową mieliśmy sklepienie z liści, przez które się promienie słońca przedzierały, pod sobą zwierciadło wody, w którym się odbijało wszystko, wzrok tonął dokoła w szarym półcieniu. Czasem znów rzeka rozlewała się po łące, wówczas stada dzikich kaczek zrywały się z sitowia. W jednym miejscu widzieliśmy dwa stawy, jeden nad drugim, a łączyły się z sobą szumiącym wodospadem, z dalszego stawu wypływała rzeczka, wpadająca do naszej Narewki. Położenie pomiędzy dzikim lasem jodłowym dziwny urok nadaje temu miejscu.”

Powietrze w puszczy, zapewne z powodu wilgoci, jest znacznie zimniejsze, niż w okolicach odkrytych, a mieszkańcy Białowieży prawie przez rok cały noszą ciepłe kożuszki, tak samo, jak górale tatrzańscy. Uczni utrzymują, że w czasach dawniejszych, gdy całą Europę pokrywały niezmierzone lasy, klimat był wszędzie daleko zimniejszy, niżeli obecnie. Puszcza białowiezka ma więc jeszcze i to znaczenie, że nam przedstawia obraz tego, co się dawniej w całej Europie działo, jest ona jakby zabytkiem zamierzchłej starożytności, tak, jak mieszkańcy jej, żubry, są zabytkiem starożytnego, prawie wygasłego rodu zwierząt.

WYPRAWA PO SKARBY UKRYTE WSRÓD PUSZCZY.

Przygody podróżników w Australii.

(Dalszy ciąg).

Noc wydaje się nam nieskończenie długa, nareszcie smuga purpurowa ukazuje się na widnokręgu i prawie w téjże samej chwili, jak zwykle pod zwrotnikami, jasna tarcza słoneczna wpływa na wschodzie i sieje palące promienie na ziemię.

Zmęczeni, spoceni i całkowicie pokryci czerwonym pyłem, zatrzymujemy się na odpoczynek. Chociaż każdy z nas ma przy sobie podróżną manierkę z wodą i co chwila po parę kropel przełyka, jesteśmy spragnieni i gorąca herbata wielką nam sprawia ulgę. Przy świetle dziennem możemy objąć smutny widok, który się przed nami roztacza. Wszędzie, gdzie okiem zajrzeć, równina niezmierzona pokryta jest piaskiem czerwonej barwy. Na samym krańcu widnokręgu błakały się o świcie obłoczki mgły białej, któreśmy wzięli za szczyty gór oddalonych, ale wyziewy te rozwiąły się przy świetle słońca.

Po krótkim wypoczynku puszczamy się dalej, pobyt w téj dzikiej pustyni nie jest wcale przyjemny, trzeba się ztąd wydobyć jaknajśpieszniej. Tymczasem droga ta nadzwyczaj jest nużąca dla koni, które brną po szyję w piasku rozpalonym. Dziwaczne mamidła migają przed nami, wzrok nasz jest zamglony, łyzy cieką nam z powiek, wszyscy czujemy dotkliwy ból oczu, zaczynamy się obawiać zapalenia. Chociaż starannie przemywamy powieki, nie możemy się jednak pozbyć pyłu, który je wygryza. Upał, znużenie, ból oczu, wszystko to nas gnębi do tego stopnia, że nic przełknąć nie możemy, jedynym posiłkiem naszym jest herbata z odrobiną rumu. Spostrzegamy z przestrawą, że najsilniejsi mężczyźni osłabli i wyglądają jak widma. Konie także, pozbawione świeżej paszy i dostatecznej ilości wody, smutnie lby pospuszczają.

Co jednak jest najstraszniejsze, to ten ból oczu, który się coraz groźniej objawia u wszystkich. Już przyszło do tego, że połowa naszej gromadki prawie ociemniała, nie może zbolących powiek roztworzyć. Najwięcej cierpią biedni nasi chorzy, bo rany ich, niezupełnie zagojone, na tym strasznym upale na nowo się zaogniły i silnej dostały gorączki, co w połączeniu z bólem oczu całkowicie ich z nóg powaliło. Olbrzym Cyryl i dzielny po-

rucznik Robarts leżą na wozie, nie mogąc się poruszyć. Pięć koni padło jeden po drugim, z żalem musieliśmy je pozostawić na pastwę drapieżnych sępów, które ze złowrogiem krakaniem nadleciały, nie zważając prawie na naszą obecność. Czyżby przeczuwały, że i my wkrótce stanimy się ich pastwą? Dreszcz mi przechodzi na tę myśl samą i wyteżam wzrok osłabiony, szukając w oddaleniu jakiegokolwiek nadziei zbawienia; ale nie widzę nic, oprócz niezmiernego oceanu czerwonych piasków, wszędzie przed znużonymi oczyma moimi latają krwawe odbłyśki. Słońce przyświeca tak jaskrawo, że całe sklepienie niebieskie zdaje się płonąć.

Już trzy dni i trzy nocy trwa ta straszliwa męczarnia. Połowa koni naszych zginęła, reszta zaledwo zdoła z wysileniem najwyższem uciągnąć ciężkie wozy. Musieliśmy wyrzucić z nich znaczną część ciężarów, z wyjątkiem tylko przedmiotów nieodbitnie potrzebnych. Nakoniec z bólem serca zmuszeni jesteśmy pozostawić nawet dwa wozy za sobą. Zapas wody prawie zupełnie już wyczerpany, a ostatnia beczka zawiera ciecz mętną, cuchnącą i ciepłą, którą ze wstrętem pijemy. Gdy jednak i tych resztek zabraknie, położenie nasze będzie rozpaczliwe.

Ta puszcza okropniejsza jest od wszystkich, któreśmy dotąd przebyli. Nawet ów obszar zasiany kamieniami, postrach podróżników, nie przyniósł nam tyle szkody, bośmy na zdrowiu przynajmniej nie cierpieli, a tu zagraża nam utrata wzroku.

Miss Marya z nieodstępną swoją towarzyszką opatruje chorych, zwilża im oczy, podaje napój do ust spieczonych, dla każdego ma jakieś słowo pociechy. One obie uniknęły zapalenia oczu, bo od początku, gdyśmy wjechali w te piaski, starannie się zasłaniały gęstą gazą zieloną i siedziały w głębi budy. Tom, oswojony z klimatem tutejszym, nie ucierpiał wcale, rzeźwy jest i żwawy, jak zwykle; upewnia nas, żeśmy nie zabłądzili, on się kieruje instynktem, a i sir Reed, pomimo cierpień i osłabienia wroku, co chwila zagląda do bussoli, abyśmy czasem nie zmylili drogi.

Znowu nam kilka koni zginęło, mamy już tylko dwa wozy, na jednym leżą chorzy, drugi, który jest tak urządzony, że może się w łódź zamienić, naładowany jest bronią, prochem i zapasami żywności. Z ludzi nie straciliśmy jeszcze nikogo, ale kto wie, jakie klęski czekają nas w tej puszczy, jeśli tak dłużej potrwa. Biedne pieski wyją żałośnie, obawiam się dla nich wścieklizny; dwa już zginęło, reszta zdaje się dogorywać.

Noc zapada, ale powietrze się nie odświeża i żadnej nie doznajemy ulgi. Nigdy jeszcze nie czułem się tak osłabionym, ogień mi pali powieki,

w uszach szumi i dzwoni, dziwne otrętwienie odejmuje władzę w członkach, sen niespokojny, gorączkowy morzyć mię zaczyna, o Boże! czy ujrzę jeszcze wschodzące słońce?

Wtém słyszę szmer przyciszony, jakieś lekkie kroki, ktoś się zbliża, znów odchodzi, po chwili odzywa się odgłos kopyt końskich, grzęznących w piasku, w końcu, wszystko ucicha, sam nie wiem, czy to złudzenie, czy w rzeczy samej ktoś odjechał z obozu? I znowu mijają długie godziny, nie mogę jednak usnąć spokojnie, aż w końcu o uszy moje obija się po raz drugi ten sam odgłos końskich kopyt, lecz teraz jeździec zbliża się szybko, staje tuż przy mnie, zeskakuje i nachyla się nademną.

— Czy to ty, Tomie, gdzie to jeździłeś w nocy?

Zgadłem, to w rzeczy samej Australczyk przykłada mi coś wilgotnego do oczu.

— Przywiąż pan to sobie chusteczką na oczach, to pana uleczy — mówi pocziwiec.

Dziwny ten plaster ma zapach aromatyczny, dość przyjemny, ale po chwili zaczyna mi gryść zbolałe powieki.

— Ależ, mój Tomie, to strasznie boli.

— Nic nie szkodzi, przegryzie trochę i uleczy; to są dobre liście, co leczą gorączkę i wszystkie choroby.

— Liście, co leczą gorączkę? a to chyba liście rozdrębu! O, Tomie, zkądżeś ty ich dostał tu na pustyni? a może ty las odkrył niedaleko!

— Tak, tak, las już niedaleko, pustynia się kończy.

— Jesteśmy ocaleni, dzięki ci, wielki Boże!

Okrzyk mój przebudza wszystkich towarzyszy, zapytania i odpowiedzi szybko po sobie następują, nadzieja ocalenia wszystkim nowych sił dodaje i nową ożywia nadzieją. Tymczasem kompres pocziwego Toma wyraźną mi sprawił ulgę, ochłodził rozpalone powieki i ból znacznie zmniejszył. Australczyk ma wielki запас cudownego lekarstwa, rozdaje je na wszystkie strony, a każdy po przyłożeniu zgniecionych liści na zbolałe powieki doznaje, tak samo jak ja, natychmiastowej ulgi. Miss Marya przebudziła się także i dzielnie dopomaga naszemu czarnemu lekarzowi.

Na wieść, że las jest niedaleko, a w lesie strumień wody, wszyscy chcą natychmiast dostać się do téj upragnionej oazy, więc jaknajśpieszniej zapręgają konie do wozów, sadowią się do nich kobiety i chorzy, my zaś wszyscy, którzy się czujemy zdrowi i silniejsi, idziemy pieszo przy wozach, aby ich nie obciążać. Noc jest tak ciemna, że prawie nic dojrzeć przed sobą nie możemy, więc przymykamy zbolałe oczy i po omacku postępujemy przy wozach. Wtém czuję na dłoni coś ciepłego i wil-

gotnego; to Mirador liże mi ręce, dzieląc się ze mną swoją radością. Pocziwe psisko towarzyszyło Tomowi do lasu i orzeźwione świeżą wodą nabrało sił i dobrego humoru. Teraz mogę zupełnie oczy zamknąć i śmiało iść, trzymając się obroży Miradora. Dzielnny mój pies myśliwski został więc przewodnikiem ociemniałego!

Konie poczuły bliskość wody i chciwie otwierają nozdrza, ostatnich sił dobywają i ciągną skrzypiące wozy. A wtém na wschodzie rozjaśniło się nagle, słońce wypłynęło na widnokrąg i oblało promieniami swemi widok czarujący. Przed nami zieleni się las wspaniały, szumiący potok spuszcza się z wyniosłego wzgórza; zewsząd odzywają się okrzyki radości, witamy ten cudny krajobraz, jakby ziemię obiecaną. Miss Marya złożyła ręce i cichą modlitwę dziękczynną zasyła do nieba, wszyscy mężczyźni, jednogłównem uczuciem wiedzeni, zdejmują czapki, jak gdyby weszli do świątyni.

Teraz już wszystkie cierpienia nasze skończone, rozkładamy obóz u stóp wyniosłych drzew, świeża woda smakuje nam, jak nektar najwyborniejszy, a sok z liści rozdrębów, wyciśnięty starannie przez Toma, jest, jak wiadomo, równie dobrem lekarstwem na wszelkie gorączki i zimnice, jak chinina. Wszyscy z ochotą zażywamy tę dobroczynną kroplę, które Miss Marya drobną swą rączką nam wydziela i pod wieczór czujemy się znacznie lepiej. Zapalenie oczu także ustępuje widocznie, przykładamy przez cały dzień kompresy z rozgniecionych liści rozdrębu. Cóż to za dobroczynne drzewo! W lesie, gdzieśmy stanęli obozem, najliczniej wyrasta gatunek, zwany w klasyfikacji naukowej; *Eucalyptus globulus*. Sir Reed utrzymuje, że w okolicach, gdzie są takie lasy, nigdy nikt na zimnicę, ani żadną zaraźliwą gorączkę nie choruje. Drzewa te mają bowiem szczególną własność pochłaniania wszystkich szkodliwych wyziewów. Obecnie zasadzają je w wielu miejscach w południowej Europie, gdzie się wybornie przyjmują. Któż to nie słyszał o bagnach pontyńskich w okolicach Rzymu i straszliwej malarii, która tam grasuje? Rząd włoski zasadza tam teraz lasy rozdrębów, drzewa te rosną bardzo szybko, a gdy rozwiną się mirtowate ich liście i aromatem przenikną powietrze, zabójcze wyziewy znikają, jakby za dotknięciem różeczki czarodziejskiej. Wiele się przyczyniają do tego zakonnicy, którzy z narażeniem zdrowia i życia osiedlają się w bagnistych, niezdrowych okolicach, osuszają moczary i zasadzają drzewa. W wielu miejscowościach, gdzie dawniej straszne zgnile gorączki panowały i ludzie mieszkac nie mogli, dziś

z łaski tych świeżo zasadzonych lasów klimat zupełnie się zmienił.

Odpocznijmy tu przez całą dobę przynajmniej Kraj Nga - Ko - Tko jest już niedaleko, droga nasza teraz ciągnąć się będzie przez lasy, nie znużymy się więc zbyt, a gdy raz dostaniemy się na miejsce, pewni jesteśmy dobrego przyjęcia, wszyscy więc w dobrej myśli gotujemy się do dalszej podróży.

Strumyczek, płynący pomiędzy piaszczystą pustynią i lasem, nie jest ani szeroki ani głęboki, lecz po obu jego stronach rozciąga się obszerna nizina, bujną trawą zarośnięta. Łatwo ztąd poznać, że w czasach deszczów musi tu płynąć szeroka rzeka. Koniki nasze w tém wyschlém korycie znajdują paszę najobfitszą.

— Coby się stało z naszym obozowiskiem, gdyby się zerwał nagle deszcz ulewny? — rzecze sir Reed — powódź zatopiłaby nas z wozami i ludźmi.

— Żartujesz pan — odpowiadam z niedowierzaniem — ziemia jest tak wysuszona upałem, że pochłonęłaby wszystek deszcz, a reszta spłynęłaby bardzo szybko.

— Oho! nie znasz pan deszczów tutejszych.

— Alboż nie zmokłem porządnie na ulewie w kamienistej pustyni?

— Ta ulewa trwała jedną chwilę; zresztą tam znajdowaliśmy się na miejscu wyniosłym, a tu, sądząc z położenia tej dolinki, muszą spływać wody ze wszystkich wyżyn okolicznych.

— W każdym razie jutro ztąd wyruszymy, a dziś, dzięki Bogu, na deszcz się nie zanosi.

— To jedno mię uspokaja, możemy więc usypiać bez trwogi dzisiejszej nocy. Drogi przyjacielu — mówił dalej sir Reed, zwracając się do majora — czy ty wiesz, że jesteśmy już bardzo blisko celu. Według moich obliczeń, nie mamy już więcej do przebycia nad dwadzieścia, lub dwadzieścia pięć mil.

— W takim razie — odrzekł major — należałoby już przedsięwziąć środki ostrożności, zalecone przez naszego wygnańca, ażeby przyjaciele jego zawiadomieni byli zawczasu o naszym przybyciu.

— Masz słusność; dziś jeszcze figura węża, ko-bong plemienia Nga-Ko-Tko, musi być odrysowana na kilku drzewach, według wskazówek ukochanego mego brata. O, jakżebym pragnął zastać go jeszcze przy życiu i przynieść ma tak wielką pociechę. O, gdybyż ten nieszczęśliwy mógł przed śmiercią uściskać ukochane dzieci!

— Miejmy w Bogu nadzieję; doznaliśmy tylu kłesk w tej podróży, tyleśmy trudów ponieśli, że teraz należy się nam trochę pomyślności. Jeżeli

obliczenia twoje cię nie mylą, za trzy dni będziemy na miejscu.

— A więc nie traćmy czasu — woła starzec z zapalem — zanim obóz ruszy, wsiadajmy na koń i jedźmy sami obejrzeć dalszą drogę i ponacinać jaknajwięcej kobogów na drzewach; zabierajmy z sobą kilku ludzi zdrowych i silniejszych, Franciszka, Szäfera, Toma, Ryszard także może jechać z nami, Edward strzedz będzie obozu.

— Jedźmy — rzecze major — ja z tobą, przyjacielu.

— A ja — odzywam się żałośnie — czy mam pozostać w obozie, jak niedołęga?

— Pan jesteś zanadto osłabiony — odpowiada sir Reed — odpocznij pan lepiiej.

— Upewniam pana, że bezczynność nuży mię daleko więcej od umiarkowanej przejażdżki. Majorze wstaw się za inną. Zresztą nie dla samej przyjemności chcę wam towarzyszyć, muszę poszukać świeżej zwierzyny. Porucznik Crowley madziś wilczy apetyt po zażyciu lekarstwa i pozbyciu się gorączki; zachciało mu się świeżej pieczeni z kangura i gotów się rozchorować na nowo, jeśli jęj nie dostanie.

— Cóż mam robić z panem — mówi z uśmiechem sir Reed.

Wsiadamy na koń i puszczamy się w drogę, Mirador z wesołym szczekaniem biegnie za mną, jedziemy stępą, nie chcąc męczyć biednych naszych szkap, zachwycamy się pięknnością lasu, świeżą zielenią traw i liści. Wstępujemy zwolna na wzgórze, z którego spływa strumień w dolinę, wjeżdżamy na rozległą równinę i tu krajobraz zmieniać się zaczyna. Spostrzegamy z niepokojem, że trawa staje się coraz rzadsza, coraz suchsza i żółtsza, liście na drzewach wyglądają jakby zwarzone, наконец dalej widzimy gałęzie całkowicie огоłocone z liści. Sir Reed dziwnie posmutniał, nic nie mówi, ale czoło jego zasępione, usta zaciśnięte, nie wróżą nic dobrego.

— Franciszku — zapytałem z cicha Kanadyjczyka — ty znasz dobrze ten kraj, powiedz mi, co to wszystko znaczy?

— Ach, panie — odrzekł Franciszek również przyciszonym głosem — to jest wielkie nieszczęście. Ale trzeba jechać dalej, może to nie cały las tak wygląda, może to jeszcze się przemieni.

Nic nie pojmuję i nie śmiem pytać więcej, jedziemy dalej w ponurym milczeniu; krajobraz jednak wcale się nie zmienia, przeciwnie staje się coraz dziksz i straszniejszy. Rzekłbyś, że mróz pozcinał drzewa i zioła. Zeschła trawa zamieniła się w siano bez koszenia, zwidłe liście utraciły zupełnie zieloną swą barwę i zwieszają się z gałęzi skręcone, jak wióry. Ziemia jest także niemi

uśłana, wszystko to szeleści pod kopytami koni jakimś złowieszczym odgłosem. Pączki kwiatowe na drzewach i ziołach zczerniały i zeschły, olbrzymie konary rozdrębów, nagie i огоłocone, wyglądają jak miotły potworne. Gdzie okiem zajrzeć, wszędzie ten widok ponury roztacza się przed nami. Nie słyhać nigdzie, ani szmeru strumyka, ani świegotu ptasząt, życie zamarło, jakby mróz nagle ściał wszystko swym lodowatym oddechem. Gdzieniegdzie tylko jaszczurki pełzają pomiędzy sztywnymi łodygami ziół i obrzydliwe węże poruszają się na gałęziach.

Zaczynam wreszcie pojmovać, co się tu stało; to nie mróz, ale upał tak zwarzył całą roślinność. Posucha trwała zapewne bardzo długo, zapas wilgoci wyczerpał się całkowicie w ziemi, korzeniom zabrakło soków pożywnych, słońce zwrotnikowe wypaliło liście i wszystko zamarło. Ocalała jedynie niewielka przestrzeń na wybrzeżach strumieni.

— Wszystko się przeciw nam sprzysięgło — szepnął sir Reed z wyrazem głębokiego smutku — położenie nasze jest okropne. Znowu więc będziemy musieli przebywać огоłoconą, dziką pustynię. Wracajmy do obozu, ale was proszę, moi panowie, nie mówcie o tém mojej synowicy ani biednym naszym chorym. Nie zakłócajmy im krótkich chwil odpoczynku tak smutną wieścią. Naradzimy się, co dalej czynić wypadnie.

Powracamy więc do obozu; porucznik Crowley wesoło upomina się o przyręczonego kangura, miss Marya wymawia bratu, że jęj nie przywiózł pięknego bukietu z lasu, a my musimy smutek nasz ukrywać w głębi duszy i udawać także wesołość, ażeby ich nie martwić i nie przerażać.

XI.

Pomiędzy ogniem i wodą. — Niespodziewana żegluga. — Głód. — Kopalnie złota. — Kryjówka wiewiórek workowatych. — Tryumfy Toma. — Wypowiedzenie wojny. — Mirador. — Przebiegłość dzikich. — Pomyłka. — Kobong.

Położenie nasze jest w rzeczy samej okropne. za nami piaski niezmierzone, przed nami las martwy. Czy w jedną stronę się zwrócimy, czy w drugą, wszędzie rozciąga się dzika pustynia, pozbawiona wody, zwierzyny, nigdzie też nie znajdziemy żywności. Zapasy nasze prawie zupełnie się wyczerpały, tymczasem żywimy się rybami, których pełno na szczęście jest w strumieniu. Z narady wypadło, że nie będziemy mogli dalej jechać prosto na północ, ale zboczymy na zachód, z biegiem strumienia, gdyż inaczej zginęlibyśmy z głodu.

(D. c. n).

Łamigłówka (Rózi).

Wynaleźć 10 wyrazów z Historii Naturalnej, któreby były zarazem nazwiskami znakomitych ludzi. Początkowe litery składają nazwisko powieściopisarza polskiego.

- 1) Zwierz — rodzaj ssących, drapieżnych.
- 2) Ryba morska — barwy białej, pletwy sze-rokie.
- 3) Ptak — z rodzaju brodzących.
- 4) Zwierz — z rodzaju ssących, bojaźliwy.
- 5) Ptak — z rodziny kruków, żyje gromadnie.
- 6) Zwierz — rodzaj ssących gruboskórnych.
- 7) Ptak — z rzędu wróblowatych.
- 8) Ptak — z rzędu biegających, biega tak szy-bko, że na koniu trudno go dogonić.
- 9) Owad — z rzędu dwuskrzydłych.
- 10) Roślina — Kwiat wielki, ozdobny, różnej barwy, nigdy błękitnej.

Łamigłówka kryształowa (N. G.).

1. Litera.
2. Spójnik.
3. Przysłówek.
4.
5. Miejsce sprzedaży.
6. Głos przeraźliwy.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą mia-sto historyczne w starożytniej Grecji.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go.

Zadania konikowego:

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju?

* * *

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew, ojców groby,
I pomniki staręj doby?

Łamigłówki kryształowej:

				P	O	L			
				P	A	N	N	A	
				P	A	N	T	E	O
M	P	O	N	T	E	Z	U	M	A
				P	R	Y	Z	M	A
				B	I	U	R	O	
				C	M	A			

Odpowiedzi od Redakcyi.

Jasłowi J. w Niszowcach. Cóż to za radość dla nas, że ko-chane dzieci tak skwapliwie korzystają z naszych wzorków do zabawy. Zajączek ślicznie wygląda na redakcyjnym biurku, którego jest prawdziwą ozdobą. Za ten dar, tak uprzejmie ofia-rowany, przesyłamy kochanemu Jasłowi serdeczne uściśnienie.

Maryni U. w Zegrzu. Brakujące N-ra wysłaliśmy natych-miast. Z redakcyi każdy N-er Pisma jest zawsze najporządniej wysyłany, często jednak na poczcie ginie, a w takim razie należy zaraz po otrzymaniu następnego N-ru dać znać do redakcyi, za-łączając dokładny adres. Rubla dla Wawrzyńca Styka oddali-śmy do rąk właściwych.

Tadziowi Kr. Nie mogliśmy odpowiedzieć w N-rze 8 Pisma, ponieważ nawet i 9 był już wydrukowany, gdyśmy uprzejmy liścik odebrali. Cieszymy się bardzo, że podróże i opisy różnych wycieczek tak się kochanym czytelnikom podobają, i że radziłyby codziennie nasze Pismo odbierać. Ale taki obszerny zeszyt po-winien wystarczyć na cały tydzień, bo czytając rzeczy zajmujące i o poważniejszych zapominać nie trzeba. Komedyjka już się drukuje.

Jadzi H. Krzyż z podstawą będzie drukowany w jednym z następnych N-ów Pisma. Bardzo dobrze jest ułożony, a co także wiele znaczy, porządną i czystą kaligrafią napisany.

H. B. w Kijowie. W łamigłówce wkradła się rzeczywiście drobna omyłka, b, w miejscach, w uniknienie podobnych omyłek druku jest prawie niepodobieństwem, a w naszym Piśmie nie często się to zdarza. Zapewne, że nazwę Kapetów lepiej jest po-polsku pisać przez K, ale w łamigłówce i pisownia przez C, ująć może, bo często trudno dobrać stosownych wyrazów. Wierszyk dość gładko napisany, wydrukujemy trochę później.

Panu K. w Czabanówce. Pierwszy tomik historii wysłany był pod adresem Pańskim jeszcze w roku zeszłym, zapewne na poczcie zaginął. Obecnie wysłaliśmy drugi egzemplarz, prosimy o uwiadomienie, gdyby go podobny los spotkał.

Pani Cezaryi F. w Ostrowie. Rękopis pana Pr. jest do odebra-nia w redakcyi. Odpowiedzieliśmy na list jeszcze w 51 N-rze roku zeszłego.

Panu Wł. N. Historii Biblijnej już nie mamy. Co się tyczy Gramatyki Polskiej, dla młodszych dzieci możemy polecić Jeskie-go, dla starszych Boczyńskiego lub Kamockiej.

Panu T. R. przy ulicy Wspólnej. Zapewne pan nie zauważył, że oba Dodatki w Piśmie naszym najporządniej są numerowane, trudno więc zrozumieć uwagę pańską. Brakujące z roku ze-szłego arkusze odesłaliśmy do księgarni p. Okońskiego. Osoby, które prenumerują Pismo nasze za pośrednictwem księgarzy, muszą tą samą drogą upominać się o zatracone N-ra; nie możne-ny bowiem w takim razie za nieakuratność odpowiadać.